

Stany Zjednoczone i islam: co się tu dzieje?

Amir Taheri

Podczas gdy Amerykanie nadal próbują opanować szok masakry w San Bernardino, odwieczna debata o tym „dlaczego oni nas nienawidzą” jest bardziej intensywna niż kiedykolwiek po 9/11.

Na ironię zakrawa fakt, że w niedawnej historii żadne wielkie mocarstwo nie dokonywało takich wysiłków, żeby okazać szacunek, pomagać i, tak, ugłaskać islam. Niemniej, żaden inny naród nie jest ofiarą takiego oczerniania, demonizacji i przemocy ze strony islamistów jak USA.

Zarówno prezydent John Adams, jak Thomas Jefferson próbowali ugłaskać islamskich piratów z Afryki Północnej w nadziei przekonania ich, by zaprzestali napadów na amerykańskie statki handlowe i by przestali brać do niewoli Amerykanów i sprzedawać ich jako niewolników w rejonie Morza Śródziemnego. Wysyłali misje pokojowe obładowane darami i gotówką, w niemal lirycznych słowach przypochlebiali się piratom, następcom Hayreddina Paszy, Czerwonobrodego. W końcu jednak musieli podjąć akcję militarną, by uciąć głowę wężowi. Ten epizod został jednak wkrótce zapomniany, poza Korpusem Piechoty Morskiej USA, gdzie do dziś jest częścią folkloru. USA, naród zbudowany na zasadzie wolności religijnej powrócił do dobrotliwej postawy wobec islamu.

Pamiętam, jak w latach 1980 dyplomata stojący wówczas na czele programu antyterrorystycznego, Robert Oakley, był pewien, że USA nigdy nie będą celem dla krajowych terrorystów islamskich, ponieważ jest to „ich ostateczny port, ich ostatnia, najlepsza nadzieja”.

To był okres, kiedy grupy kontrolowane przez ajatollaha Chameiniego porywały lub zabijały Amerykanów na Bliskim Wschodzie.

Co więc stało się, że ten „ostateczny port” stał się przystankiem na drodze do raju dla męczenników?

Dlaczego tak wielu muzułmanów nienawidzi Amerykanów do tego stopnia, że chcą ich masakrować w ich biurach, jak 11 września 2001 r., lub na przyjęciu Bożonarodzeniowym w San Bernardino – mimo faktu, że Stany Zjednoczone są jedynym dużym mocarstwem w czasach współczesnych, które zawsze oferowało muzułmanom pomocną dłoń, kiedy jej potrzebowali?

Czy to nie prezydent Woodrow Wilson nalegał pod koniec I wojny światowej, by główne mocarstwa imperialne owych czasów, Wielka Brytania i Francja, publicznie zobowiązały się do respektowania prawa do samostanowienia narodów uwolnionych z osmańskiego jarzma? Amerykanie wymyślili ideę „mandatów” pod auspicjami Ligi Narodów, by nie dopuścić europejskich, imperialistycznych zaborców do zamiany ich podbojów muzułmańskich terytoriów na Bliskim Wschodzie w nową wyprawę kolonialną. Bez tego prawdopodobnie przez dziesięciolecia jeszcze nie byłoby niepodległych państw arabskich w Lewancie.

I czy to nie był prezydent Harry Truman, który w 1946 r. użył bezpośredniej dyplomacji przeciwko radzieckiemu despotce, Józefowi Stalinowi, by zmusić go do zabrania rosyjskich sił okupacyjnych z północno-wschodnich prowincji Iranu i zapomnienia o jego planach stworzenia Radzieckiego Iranistanu? (W tym czasie Rosjanie jeszcze nie mieli arsenału nuklearnego i musieli pomyśleć dwukrotnie zanim prowokowali starcie z USA.)

Prezydent Truman nie dopuścił także, by Brytyjczycy podzielili mandatową Palestynę między swoich arabskich klientów po tym, jak już oderwali wielką jej część, by stworzyć emirat na wschodnim

brzegu Jordanu dla swoich protegowanych, Haszymidów.

I dzięki temu, że USA w ostatniej chwili wysłały piechotę morską w 1958 r., zarówno Libanowi, jak Jordanii udało się zachować niepodległość i uniknąć losu wczesnych wersji tego, czym Syria jest dzisiaj.

A mieliśmy jeszcze kryzys 1956 r., kiedy Wielka Brytania i Francja najechały na Egipt, by zapobiec nacjonalizacji Kanału Sueskiego. Czy nie był to prezydent Dwight Eisenhower, który wystąpił przeciwko najstarszym sojusznikom Ameryki, by pozwolić Egipcjanom zatwierdzić swoją suwerenność narodową?

Od 1961 r. prezydent John F. Kennedy wywierał niezmiernie naciski na Francję i użył swojego czaru wobec generała de Gaulle'a, by przyspieszyć postęp ku niepodległości Algierii. W 1997 r. Redha Malik, były premier Algierii i główny negocjator z Francją powiedział mi, że przez cały czas rozmów pokojowych w Evian zespół algierski wiedział, że ma „mocnego przyjaciela w Waszyngtonie”.

Podczas wojny arabsko-izraelskiej 1967 r., wywołanej przez donkiszotowską próbę dyktatora Gamala Abdul Nassera narzucenia blokady na Cieśninę Tirańską, USA użyły swoich wpływów, by przekonać Izrael do zatrzymania wojny po sześciu zaledwie dniach. W pamiętnikach wieloletni aparatczyk radziecki i przyszły premier Jewgienij Primakow, twierdzi, że Izraelczycy chcieli dokończyć zniszczenia arabskich sił lotniczych i zmieść również ciężką broń Nassera na ziemi. Pod presją amerykańską Izraelczycy zgodzili się powściągnąć swój apetyt na zwycięstwo i zaakceptować zawieszenie broni pod auspicjami Narodów Zjednoczonych.

Reżim Nassera przetrwał, by móc walczyć innego dnia, który to dzień nadszedł w 1973 r. Także w wojnie w październiku 1973 r. interwencja USA pomogła powstrzymać Izraelczyków, którzy nabudowali siłę inwazyjną pod dowództwem generała Ariela Szarona o rzut kamieniem od Kairu.

W rozmowach w Camp David, które doprowadziły do pokoju między Egiptem i Izraelem, intensywne naciski prezydenta Jimmy'ego Cartera zmusiły Izraelczyków do porzucenia planów zatrzymania „enklaw bezpieczeństwa” na Półwyspie Synajskim, pomagając w ten sposób prezydentowi Anwarowi Sadatowi w odzyskaniu całego utraconego przez Egipt terytorium.

Znacznie powszechniejsza niż islamofobia jest islamofilia, kiedy lewicowcy traktują muzułmanów jak dzieci, których nie należy denerwować.

W 1982 r. wielonarodowe siły pod przewodnictwem Stanów Zjednoczonych interweniowały w Libanie, by zatrzymać ofensywę izraelską na linii rzeki Litani. Te siły pomogły także uratować życie Jasera Arafata i jego bliskich współpracowników w kierownictwie Organizacji Wyzwolenia Palestyny (OWP), kiedy w pułapce w Bejrucie byli zagrożeni schwytaniem lub zabiciem przez wojsko izraelskie. Prezydent Ronald Reagan nawet załatwił Arafatowi i jego świcie bezpieczny wyjazd do Tunezji - bezpłatny.

Podczas długiego kryzysu, który doprowadził do rozpadu Jugosławii, USA, po początkowym wahaniu za prezydenta George'a W. Busha, przyjęły przewodnictwo za prezydenta Billa Clintona i pomogły uratować życie wielu muzułmanom w Bośni-Hercegowinie, gdzie serbski plan czystki etnicznej odbywał się w najlepsze. Później siła militarna USA pomogła także albańskiej większości Kosowa, w przeważającej mierze muzułmańskiej, zdobyć niepodległość. Przywódca etnicznych Albańczyków, Ibrahim Rugowa, powiedział mi w wywiadzie, że liczył na „obudzenie się sumienia Europy”, ale zobaczył, że to „kawaleria amerykańska” przyszła na ratunek, podczas gdy Europejczycy „tańczyli przy łóżku umierającego”.

USA były jedynym dużym mocarstwem, które nie miało państwowej kompanii naftowej, a więc nie

używało siły militarnej, by zdobyć udział w zasobach energetycznych Bliskiego Wschodu.

Czy muzułmanie powinni nienawidzić Amerykanów, bo odmówili zlikwidowania swoich baz wojskowych na ziemiach islamskich? I znowu historia pokazuje, że USA były jedynym dużym mocarstwem, które było gotowe spakować się i odejść, gdy tylko gospodarz pokazał im drzwi.

W 1969 r. zdumiony pułkownik Moammar Kaddafi patrzył, jak Amerykanie zamknęli jedną z najważniejszych baz wojskowych w basenie Morza Śródziemnego, Wheelus, mieszcząca się na terytorium Libii, gdy tylko jego nowy rząd wojskowy poprosił Waszyngton, by odeszli. Parę lat wcześniej zabrało miesiące krwawych walk i dziesiątki tysięcy ofiar, zanim Jemen Południowy był w stanie zmusić Wielką Brytanię do zamknięcia bazy w Adenie.

W 1979 r. USA miały 27 tysięcy personelu wojskowego w Iranie, obsługującego „stacje nasłuchowe” założone jako część umów o ograniczeniu broni strategicznej, do monitorowania radzieckich testów pocisków rakietowych. Kiedy jednak nowy reżim islamski pod przewodnictwem Chomeiniego zażądał od USA zamknięcia tych stacji nasłuchowych, które były zaaprobowane także przez Związek Radziecki, Amerykanie nie ociągali się. Jedynymi Amerykanami, jacy pozostali w tym kraju, byli dyplomaci, wkrótce wzięci na zakładników przez bojówkarzy Chomeiniego.

Na większą skalę byliśmy świadkami powtórki tego rodzaju postaw w latach 1990., kiedy Amerykanie po prostu spakowali się i wyjechali po prośbie Saudyjczyków, by zamknęli swoje bazy po wygnaniu Saddama Husajna z Kuwejtu, a przy okazji uratowaniu także Arabii Saudyjskiej przed okupacją iracką.

Fakt, że USA były przyjacielem muzułmanów i islamu zilustrowała również pomoc amerykańska przy wyparciu Związku Radzieckiego z Afganistanu, a później wyzwolenie Afgańczyków i Irakijczyków – w sumie 50 milionów muzułmanów – od brutalnej dominacji talibów i partii Baas.

W 2005 r. iracki minister ds. ropy naftowej, Hussein Szarestani, zastanawiał się publicznie, dlaczego Amerykanie nie „kradną naszej ropy”, co, jak twierdziła antyamerykańska propaganda, było głównym celem Waszyngtonu przy obaleniu Saddama Husajna. Stamtąd też odeszliśmy.

Przez ostatnich sześćdziesiąt lat USA były bez porównania największym darczyńcą pomocy dla ponad 40 z 57 krajów o większości muzułmańskiej. W latach 1940. i 1950. amerykańska pomoc żywnościowa uratowała dziesiątki milionów muzułmanów przed głodem i śmiercią głodową. Program Point IV, zainicjowany przez prezydenta Trumana, pomógł zlikwidować wiele endemicznych chorób, włącznie z ospą i malarią, które corocznie zabijały tysiące muzułmanów.

Od dziesięcioleci wiele narodów muzułmańskich otrzymuje corocznie duże czeki od USA, wśród nich Egipt, który dostaje 2 miliardy dolarów, i Pakistan, ojczyzna mordercy Syeda Farooka, który dostaje miliard dolarów rocznie.

Kiedy ostatni kalif islamski został wypędzony z Turcji w 1924 r., pojechał najpierw do Francji, a potem do Stanów Zjednoczonych, gdzie jego potomkowie żyli w Nowym Jorku. Ostatni pretendent do Islamskiego Kalifatu, Ertugul Osman V, zmarł na Manhattanie w 2009 r.

Otwarte społeczeństwo USA zawsze przyjmowało islamskich wygnańców, włącznie z niektórymi ze swoich zaciekle wrogów. Jedyny raz, kiedy panislamski ruch Hezbollah, założony i kierowany przez Iran, kiedykolwiek zorganizował konferencję międzynarodową poza Iranem lub Libanem, był w 1986 r. w Austin Texas, kiedy stworzono odgałęzienia tego ruchu w Ameryce Łacińskiej. Setki wysokich rangą chomeinistów, cywilów, wojskowych i duchownych, skończyło jako wygnańcy w USA, podczas gdy wielu innych wysyła swoje dzieci do szkół i uniwersytetów w USA.

Dzisiaj połowa najbliższych współpracowników prezydenta Republiki Islamskiej, Hassana Rohaniego, ma doktoraty z uniwersytetów amerykańskich, wśród nich szef sztab Muhammad Nahavandian, która jest posiadaczem zielonej karty, i jego minister spraw zagranicznych, Dżavad Zarif. (Druga połowa to byli strażnicy zakładników amerykańskich w Teheranie, wśród nich minister obrony Hussein Dehqan i dyrektor ds. środowiska Masoumeh Ebtekar.)

Całkiem sporo spośród około 50 rodzeństwa Osamy bin Ladena albo ma paszporty USA, albo zielone karty, a wraz z nimi tysiące innych Saudyjczyków.

W odróżnieniu od Rosji, która ma 200-letnią historię wojny z muzułmanami, anektując ziemie islamskie w tempie kilometra kwadratowego dziennie w wieku XIX, USA nigdy nie anektowały żadnego narodu o większości muzułmańskiej. I, w odróżnieniu od Chin, które nadal trzymają swoją mniejszość muzułmańską, Ujgurów w Turkiestanie Wschodnim (Sinciang) otoczoną pierścieniem stali, USA nigdy nie próbowały powstrzymać aspiracji narodu muzułmańskiego do samostanowienia.

W latach 1990., kiedy Arabia Saudyjska normalizowała stosunki z Chińską Republiką Ludową, zamknęła biura wygnańców ujgurskich w Dżuddzie. Dokąd przenieśli się wygnańcy? Do Waszyngtonu, bo ani narody muzułmańskie, ani europejskie nie chciały ich gościć.

Od lat 1970. USA są gospodarzem dla ponad pięciu milionów muzułmanów z całego świata, wielu z nich uciekających przez brutalnymi reżimami islamistycznymi w swojej ojczyźnie. Podczas rozmowy w 2002 r. profesor z Princeton, Bernard Lewis, wyraził nadzieję, że muzułmanie w Stanach Zjednoczonych i innych demokracjach zachodnich mogą stać się „światłem przewodnim oświecenia” dla swoich krajów. Wielu z nas podzielało tę nadzieję.

Teraz jednak widzimy, że dzieje się coś odwrotnego. Zamiast eksportować „światło” z powrotem do świata muzułmańskiego, coraz większa liczba muzułmanów w demokracjach zachodnich stało się importerami ciemności do swoich nowych siedzib.

Co gorsza, politycznie poprawny tłum zamienił islam w nowe tabu. Piętnują każdą krytykę islamu jak rasistowską, etnocentryczną lub po prostu nikczemną, wszystko to wepchnięte razem w kategorię „islamofobia”.

Czy jest islamofobią kwestionowanie religii, której bliskowschodni przywódcy często nauczają hasła „Śmierć Ameryce” oraz nienawiści do wartości Zachodu?

Znacznie powszechniejsza niż islamofobia jest islamofilia, kiedy lewicowcy traktują muzułmanów jak dzieci, których nie należy denerwować.

Ci islamofile wyrządzają wielką szkodę zarówno demokracjom zachodnim, jak samemu islamowi.

Chcą, by Amerykanie i Europejczycy poświęcili część własnej wolności jako pokutę za na ogół wymaginowane grzechy przeciwko muzułmanom w epoce kolonialnej i imperialistycznej. Zachęcają też muzułmanów na Zachodzie, by nauczyli się pozować jako ofiary i żądać nagród za bycie ofiarą, jak to jest modne obecnie w Europie i Ameryce. Dla świata muzułmańskiego ogólnie przesłaniem islamofilii jest to, że muzułmanie nie potrzebują żadnej krytyki, chociaż ich wiara zamieniła się w wiele sprzecznych ze sobą ideologii, poświęconych przemocy i terrorowi.

Nie zwracaj uwagi na to, że teologia islamska jest praktycznie martwa. Powiedzenie tego byłoby oznaką islamofobii.

Nie zwracaj uwagi na to, że Bóg pojawia się w meczetach tylko w epizodycznej roli, podczas gdy kazania są niemal w całości poświęcone kwestiom politycznym.

Wystarczyłoby, gdyby zachodni intelektualiści i przywódcy przestali prawić islamowi pochlebstwa, jak to robi prezydent Obama od siedmiu lat, twierdząc, że dosłownie wszystko wartościowe pod słońcem ma swój początek w islamie.

Wielu muzułmanów ma za złe ten rodzaj pochlebstw, które traktują ich jak idiotów i to w czasie, kiedy islam i muzułmanie bardzo potrzebują krytyki. Świat musi obudzić się z drzemki i zapytać: co się tu właściwie dzieje?

Tłumaczenie: Małgorzata Koraszewska

Źródło: <http://pl.gatestoneinstitute.org/>



Amir Taheri jest pochodzącym z Iranu konserwatywnym publicystą; jego specjalność to sprawy Bliskiego Wschodu i terroryzm islamski. Jest prezesem Gatestone Institute